

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>St. Szczepanowski</i> : Sytuacja polityczna w Austrii	193
<i>Dr. August Sokolowski</i> : Leliwa	210
<i>Zygmunt Bytkowski</i> : Intérieur	214

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni **Włh. Frick**, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni **Jakubowskiego & Zadurowicza**
w Krakowie w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**.

1895

TREŚĆ Nr. 1, 2, 3, 4, 5 i 6:

Od redakcyi.

Dr. T. Rutowski: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe.

Ks. Dr. A. Kopyciński: Rola księdza polskiego.

Prof. A. Wachnianin: Stronnictwa na Rusi halickiej.

Prof. Dr. A. Sokolowski: Uwagi krytyczne nad historją powstania styczniowego. I.

Dr. Witold Lewicki: Ad limina Apostolorum.

Stanisław Szczepanowski: Racyonalizm narodowy.

Dr. T. Rutowski: Reforma wyborcza.

Budżet Królestwa Polskiego. I.

Dr. Kazimierz Twardowski: Fryderyk Nietzsche.

Dr. Witold Lewicki: Francesco Crispi.

Jan Skrzydlewski: O ruchu muzycznym we Wiedniu.

Przesilenie w Koalicyi.

G. Smólski: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna.

Budżet Królestwa Polskiego. II.

Roman Lewandowski: Salon wiedeński.

Po upadku koalicyi.

Ks. Dr. Adam Kopyciński: Jednostka a społeczeństwo.

Dr. Kazimierz Twardowski: Monista mistyk.

Zygmunt Bytkowski: Maurycy Maeterlinck.

Dr. Witold Lewicki: Paszkwilantom.

Dr. Tadeusz Rutowski: Fabrykacya opinii krajowej.

Antoni Föbich: Ruch chłopski na Mazurach.

Dr. Zofja D.: Listy z Niemiec. I.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa
obniżamy prenumeratę do

połowy

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.

➤ Numer niniejszy przesyłamy na okaz z prośbą
o przysłanie prenumeraty, lub zwrot numeru. Nie zwró-
cenie numeru uważać będziemy za przystąpienie do
prenumeraty. **➤**



Sytuacja polityczna w Austrii.

Koalicja stronnictw upadła. A jednak pozostaje i nadal jedyną kombinacją możliwą w Austrii, bo leży w naturze stosunków.

Upadła z powodu niedojrzałości stronnictw, objawiającej się w podwójnej postaci: niedojrzałego działania parlamentarnego i jeszcze niedojrzalszej opinii publicznej.

Nedojrzałość parlamentu objawiła się zaraz przy samej organizacji rządu koalicyjnego. Parlament austriacki tak przywykł do roli wyłącznie krytycznej wobec władzy rządowej od niego niezawisłej, że nie umiał się nawet wymyślić w taką sytuację, że ten rząd miał być wpływem i personifikacją samego parlamentu.

W Anglii Gladstone u liberalnych, Balfour u konserwatywnych, wstępując do rządu, tem silniej stoi jako szef swojej partii, a każde stronnictwo u rządu będące daleko jeszcze silniej popiera powagę i władzę swojego szefa i ściślej pilnuje karności swoich członków, jak stronnictwo w opozycji, które nieraz dozwala na wojnę podjazdową i imprezy lub nawet wybryki pojedynczych członków.

W Parlamencie austriackim zaś stronnictwa wysławszy swych najwybitniejszych mężów zaufania do gabinetu, w tej chwili się zorganizowały niezależnie od nich, i jakby nic się nie stało, co zasadniczo zmieniło stanowisko klubów do rządu, zaczęły dalej prowadzić politykę krytycznej ostrożności wobec rządu, składającego się z ich dawnych przewodców, tem wstąpieniem do rządu niejako odciętych od stronnictw, ledwie że nie wykluczonych z dawnej sfery wpływu swojego, nieledwie tak jak gdyby to ich wstąpienie do rządu było odstąpieniem od dawnego programu i dawnych zasad.

Polacy jako starodawny naród polityczny jeszcze najmniej zgrzeszyli pod tym względem. Ministrowie Jaworski i Madejski pozostali w ciągłej styczności z Kołem i zachowali do końca zaufanie Koła. A jednak Koło ulegając zabawnemu zabobonowi, że stanowisko władzy nie zgadza się z kierownictwem stronnictwa politycznego, zostało faktycznie osłabione a nie wzmocnione przez to, że dostało dwie teki ministeryalne i wiceprezydenturę Izby.

Natomiast nigdy bardziej jak w tych czasach nie odczułem tego, czego tak często doznawałem w Sejmie, to jest że wszystkie różnice między nami leżą na powierzchni, a że w istocie panuje głęboka spójnia duchowa. Zapewne są u nas i różnice zdań i rywalizacje osób, ale w chwilach poważnych to wszystko ustaje. Dość poruszyć Koło do głębi, a te różnice powierzchowne znikają. Ludzie najrozmaitszych zapatrywań podają sobie ręce i z tą dziwną skłonnością do jednomyślności, która leży w naszej historii, przychodzi zwykle uchwała do skutku, odpowiadająca instynktowo i potrzebom chwili i potrzebom narodowym. Tak też bywało i w tych ciężkich chwilach.

Niemcy mający mniej tradycyi politycznych, a jeszcze więcej doktryneryi od Polaków, poszli też o wiele dalej w kierunku poświęcenia esencji rządów parlamentarnych dla form i paragrafów klubowych. Po usunięciu się przewodców na fotele ministeryalne, młodszy i gorętsi dostali się na czoło, i ostatecznie Klub odpadł od swoich byłych przewodników, którzy wszelki mir stracili. Było to już widoczne przed dwoma miesiącami, kiedy nowi szefowie stronnictwa wystąpili niespodzianie z bombą w komisji budżetowej i oświadczyli się przeciwko wielkiemu i zbawiennemu projektowi upaństwowienia reszty kolei austriackich, projektu, którego przeprowadzenie by było wielkim dziełem ekonomicznym i wielkim tryumfem dla rządu koalicyjnego, a który już w przyszłości nie może być dokonany pod równie pomyślnymi warunkami. Dopóki też nie będziemy mieli autentycznych informacyj o wewnętrznych dziejach Klubu, nie sposób ani ocenić ani skrytykować działalności jego dwóch ministrów. To co by można uważać jako słabość, prawdopodobnie tłumaczy się brakiem poparcia ze strony własnego Klubu. Na odwrót obaj ministrowie pozyskali sobie zaufanie dwóch innych stronnictw skoalizowanych. Mianowicie o Plenerze można twierdzić, że postępowaniem swoim rozbroił podejrzenia i obawy najmniej jemu przychylnych i obecnie zazywa u nas więcej zaufania osobistego aniżeli którykolwiek członek swojego stronnictwa.

Mówiąc o Plenerze, jedną rzecz mianowicie należy podnieść, to jest, że nie ulegał temu największemu grzechowi rządów parlamentarnych i nie prowadził polityki wyboczej kosztem budżetu, co się dzieje w sposób tak krzyżący we Francji i we Włoszech. Pomimo najsilniejszych nalegań swojego stronnictwa nie zdecydował się prędeż do powiększenia zasiłków dla urzędników aż znalazł nowy dochód 1½ miliona w podwyższeniu taryf osobowych na kolejach. I zwfoka w udzielaniu zasiłków była nie popularną, jak niemniej źródło, z którego zamierzył zaczerpnąć świeżych środków i okoliczności tej przypisują niemały wpływ na wybory do rady miejskiej wiedeńskiej tak fatalne dla lewicy. Ale postępowanie jego wskazuje, że był wiernym stróżem skarbu państwa. Tak samo pilnie, może za pilnie, strzegł nagromadzonych funduszków w kasach państwowych, z których znaczne kwoty, może nawet kilkudziesięciu milionowe można było przeznaczyć na popularne inwestycje. Tem bardziej należy podnieść tę stronę jego działania, bo zresztą był aż nadto skory do kompromisów i ustępstw na rzecz najrozmaitszych stronnictw. Najlepszym dowodem jego szczerości i dobrej wiary politycznej było złożenie mandatu poselskiego. Te kilka słów, w których zapowiedział złożenie mandatu, były najwymowniejszą enuncjacją wielkiego mistrza wymowy parlamentarnej, który tym aktem w imię idei państwowej stanowczy wziął rozbrat z manewrami partyjnymi. Tak jak przed tym aktem uważałem jego karierę polityczną jako skończoną, tak teraz z menera jednego stronnictwa stał się mężem stanu, który będzie wywierał wpływ niezależnie od chwilowej i przemijającej chwilowej popularności, jako przedstawiciel pewnych idei, odpowiadających wielkim potrzebom państwowym. Odrzucił z pogardą ten mandat impératif, które płytkogłowe gazeciarstwo narzuca tak nazwanym przewodnikom narodu, robiąc z nich tylko bierne narzędzie do uskuteczenia owczych zapędów chwili bieżącej. Szukajcie w historii każdego narodu politycznego. Naród posiadający zdrowe instynkta nie wybiera sobie przewodników z pomiędzy tych, którzy mu ulegają i którzy się korzą przed każdym wietrzykiem popularności, ale z tych, którzy umieją stanąć sami i o własnych siłach raczej, aniżeli się poddać kierunkowi, który się sprzeciwia ich przekonaniom.

* * *

Najdziwniejszy stosunek do koalicji zachodził ze strony klubu hr. Hohenwarta. Sam Hohenwart jest twórcą koalicji. Powinien był być jej szefem i on a nie kto inny powinien był objąć prezesostwo ministerstwa. Wszystko wskazywało ten

krok. Osobiste zaufanie Cesarza i szerokich kół poza obrębem własnego stronnictwa, polityczne doświadczenie, które mu dozwalało prowadzić klub, złożony z tak różnorodnych żywiołów jak jego własny i który sam przez się trudniejszym jest do rządzenia, jak by była cała koalicja — senatorska iście powaga męża, który w parlamencie austryackim jest najlepszym przedstawicielem tego, co każdy Polak rozumie pod tem dla nas magicznem wtywem senatora. Dostaliśmy zamiast niego księcia Windischgracza, człowieka osobiście szlachetnego i prawego, a nawet dziwnie sympatycznego, ale który był nowicuszem w manewrach politycznych. Koalicja miała ministrów, nie miała ministerstwa i skutkiem tego upadła z powodu trywialnych przeszkód, których przewycięzenie by hr. Taaffemu ani pół godziny bólu nie było kosztowało. Pomimo że nie wstąpił do gabinetu hr. Hohenwart przez cały czas był tem słońcem, koło którego się wszystko obracało, ale które znajdując się poza organizacją urzędową, zamiast być ogniskiem siły, stało się pierwiastkiem rozkładowym i ubezwładniającym. Sama sprawa cylejska, wywołana osobistymi stosunkami hr. Hohenwarta zupełnie inaczej by została załatwioną dla niego, jako dla szefa rządu, jak mogła być w danych okolicznościach. Klub Hohenwarta, o ujęcie którego w karby najbardziej zależało, właściwie wcale nie był reprezentowany w gabinecie, bo ministrowie Falkenheyn i Schönborn acz zbliżeni opiniami byli dawnymi ministrami Taaffowskimi a nie przewodnikami stronnictwa. Wyniknęły stąd pewne anarchiczne stosunki, które się wiele przyczyniły do podkopania nie tylko gabinetu koalicyjnego, ale też samej idei koalicji.

* * *

Obok niedojrzałości stronnictw, występuje jeszcze większa niedojrzałość opinii publicznej, której głównym symptomatem jest przewaga gazeciarska nad parlamentem. Młodoczechy to „Narodni listy“. Tryumf polityki gazeciarskiej w Czechach, jest to jeden z największych tryumfów prasy w dziejach bieżącej generacji. Taksamo obalenie koalicji przez Nową Pressę, ten sam organ, któremu lewica zawdzięcza w znacznej mierze wszystkie swoje kłęski ostatnich lat dwudziestu. Ten fakt też tłumaczy skryte sympatye całej reporterki parlamentarnej i dla Młodoczechów, oraz uwielbienie dla Nowej Pressy, jako ideału dziennikarstwa.

Na ten stan rzeczy składa się ze strony publiczności krótka pamięć i brak tego przyzwyczajenia wszystkich ludów wolnych rozważania obu stron każdej kwestyi. W Anglii nie-

tylko że każdy instynktownie praktykuje w polityce zwyczaj rabyty tysiącletnią praktyką sądów przysięgłych porównywania argumentów za i przeciw, ale każdy człowiek wykształcony ma w swojej pamięci w najdrobniejszych szczegółach co najmniej pół wieku historii parlamentarnej. W Galicyi można zaledwie liczyć na pobieżną wiadomość dziesięciu do piętnastu lat, raz z powodu zastraszającej śmiertelności naszej inteligencji, a potem z powodu trudnych i przykrych warunków naszego życia publicznego, które tak często skłaniają ludzi do usunięcia się z areny publicznej.

Co do dziennikarstwa to grzech śmiertelny dziennikarstwa austriackiego tak samo jak francuskiego polega na tendencyjnej reporterce. Angielskie dzienniki daleko ostrzejszego tonu używają od austriackich, ale sprawozdania faktów są bezwzględnie autentyczne i sprawiedliwe. Do tego się przyłącza coraz większe opanowanie dziennikarstwa przez rzemieślników literackich. Najgorzej we Francyi, gdzie pierwszy lepszy pismak jest wielkim człowiekiem i gdzie jest pełno kondotierów literackich. Natomiast w Anglii zawód dziennikarski, bez samodzielnych zasług obywatelskich, nie daje żadnego stanowiska publicznego. W Anglii też najwięcej biorą udziału w pracy dziennikarskiej poważne osobistości, stojące na wszystkich, szczeblach hierarchii społecznej i nadają dziennikarstwu ten ton obywatelski, bez którego ono się staje raczej kramem nowinek jarmarcznych, aniżeli odgłosem rzeczywistej opinii publicznej.

Na tej niedojrzałości opinii publicznej, swoją drogą daleko jeszcze większej w Wiedniu aniżeli u nas w kraju, najgorzej wyszła myśl koalicji, a również Koło polskie, które do niej przystąpiło, jakoteż ci posłowie, którzy tą politykę najusilniej popierali.

Główną zbrodnią, zbrodnią przeciwko naturze, było uznanie lewicy niemieckiej jako stronnictwa sprzymierzonego. Powtarzano na wszystkie modulacje przysłowie: „jak długo świat światem, Polak Niemcowi nie był bratem“. Powoływano się na fakta prawdziwe, że centaliści niemieccy po dwakroć, t. j. w r. 1861 przy zaprowadzeniu konstytucyi ludowej i w r. 1873 przy wyborach bezpośrednich do Rady Państwa wykonalili zamach na nasze istnienie jako stronnictwo polityczne i wprost dążyli do zagłady stanowiska polskiego w Austrii.

Zapomniano jednak, że od dwudziestu lat stosunki się radykalnie zmieniły, wpływ polski stanął na tak silnych podstawach, że poprostu mowy niema o tem, żeby go wykluczyć i chyba tylko jakiś niedorzeczny ruch w naszym własnym kraju by go mógł podkopać. A lewica niemiecka taksamo by

mogła Polakom wiary dotrzymać, jak od dwudziestu pięciu lat dotrzymuje Węgrom, których przecież dawni centraliści tak samo jak nas, chcieli byli na początku dziejów konstytucyjnych w łyżce wody utopić.

Przedewszystkiem zapomniano, że Rada Państwa wiedeńska nie jest ciałem parlamentarnem w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale raczej kongresem dyplomatycznym, bo przecież bez jednolitej opinii publicznej, bez głębszej duchowej spójni pomiędzy rozmaitemi stronnictwami niema parlamentu, za to każdy klub z osobna jest małym parlamentem, ale Rada Państwa jest tylko kongresem szeregu niezawisłych i solidarnych klubów. Uczuciowa polityka, sympatye lub antypatye, tu żadnej nie powinny odgrywać roli, tem więcej zaś trzeźwa i przezorna rozważa i rachuba polityczna. Nie zastanowiono się nigdy, czy może nie powinien nastąpić pewien podział pracy pomiędzy stronnictwami krajowemi, czy z jednej strony w Wiedniu na arenie dyplomatycznej nie należało powierzyć działania stronnictwu konserwatywnemu i arystokratycznemu, a czy natomiast arena ludowa w kraju nie daje wystarczającego zakresu działania dla stronnictwa postępowego i demokratycznego, na odwrót obecnego stanu, gdzie stronnictwo postępowe ma więcej wpływu w Kole wiedeńskim, aniżeli w Sejmie krajowym — a konserwatyści z niezrozumiałem dla mnie lekceważeniem zaniedbali należycie pilnować i zasilać posterunku wiedeńskiego, do którego ich i tradycje partyi, temperament polityczny i położenie towarzyskie daleko lepiej kwalifikują.

Demokracja przedewszystkiem nie znosi dyplomacji. Do prowadzenia stronnictwa arystokratycznego wystarcza kilka słów powiedzianych na ucho jednemu człowiekowi. Stugębna demokracja zaś nieda się zbyć frazesami dyplomatycznymi i nie da się karmić karmelkami konwencyj towarzyskich. Wymaga prawdy i to prawdy dobitnej.

„Für das Volk ist das Beste eben noch gut genug“. Jak jej się tej prawdy nie dostarcza, narowi się i podpada to demagogii, to apatyi.

Uznając potrzebę dyplomacji i jej użyteczność dla kraju i głęboko przekonany o potrzebie prowadzenia pracy wiedeńskiej w duchu dyplomatycznym, a nie w duchu parlamentarnym, tem łatwiej rozumiem i tłumaczę sobie zabałamucenie opinii krajowej, że sam nigdy nie byłem dyplomata, ani z temperamentu, ani z zamiłowania, ani z ambicji i we własnej osobie najlepiej czuję całą sprzeczność, która zachodzi pomiędzy obowiązkami dyplomatycznymi, a zasadami politycznymi, które wyznaje. Natomiast jako przyrodnik zawsze byłem przyzwyczajony

czajony do szukania prawdy bezwzględnej i do jasnego zdania sobie sprawy z najbardziej zagmatwanych zjawisk.

Dlatego odważam się skreślić krótki szkic obecnych stosunków partyjnych w Austrii, odnoszący się przeważnie do lewicy niemieckiej, a to w rodzaju rozbioru anatomicznego i psychologicznego z punktu widzenia doświadczenia osobistego. Będąc w szkołach wiedeńskich w czasach przedkonstytucyjnych i zakonkordatowych, pamiętając osobiście wszystkie sceny pierwszych czasów konstytucyjnych od zjawienia się deputacji galicyjskiej i pierwszych wyborów w r. 1861 do klęski pod Sadową i ugody z Węgrami w r. 1867, i należę obecnie do tych członków Koła polskiego, którzy mają najdłuższe doświadczenie wiedeńskie. Wrażenia podaję czysto osobiste, bo jako „document humain“ wrażenie przestaje być zupełnie prawdziwym, jeżeli się odnosi nie do jednostki, ale do mniejszej lub większej grupy ludzi.

* * *

Pierwsze wybory bezpośrednie odbyły się w r. 1873 i dały większość przeszło dwóch trzecich dla „Verfassungspartei“. Eliminuję jednak Rusinów, liberalnych Włochów, jakoteż wszelkie żywioły nienależące do właściwych centralistów a tylko przypadkowo z nimi związane. Według spisu w Nowej Presie z dnia 31. Października 1873 widzę 202 posłów centralistycznych, podzielonych na odłamy centrum, lewicy i skrajnej lewicy, w których już widzimy początek obecnych stronnictw, zbliżonych do obecnej lewicy, ale już stojących poza jej organizacją i częściowo jej najnieprzyjaźniejszych. Nawet obecnie anty-semici już wówczas istnieli w związku w tak nazwanych demokratkach wiedeńskich, zorganizowanych przez dawnego mojego profesora chemii, genialnego Wincentego Kletzińskiego. Tabliczka poniżej pokazuje stosunek liczbowy ówczesnych centralistów do tych stronnictw, które na gruzach dawnej partii centralistycznej istnieją w obecnym parlamencie, a to rozdzielonych podług kuryi wyborczych. Konserwatystów niemieckich nie zaliczam do stronnictw niemieckich, albowiem spójnię stronnictwa u nich tworzy katolicyzm a nie narodowość.

całkowita liczba mandatów	Wielka własność	Izby handlowe	Miasta	Mała własność	Razem
w każdej kuryi	85	21	118	129	353
a) Centraliści w r. 1873 . . .	61	19	81	41	202
b) Lewica niemiecka r. 1895	28	12	49	18	107
c) Klub Coroniniego „	4	1	4	1	10
d) Narodowcy niemieccy „	—	1	10	3	17
e) Antysemici „	—	—	8	3	11
Stronnictwa niemieckie r. 1895					
Razem (b+c+d+e) . . .	32	14	71	28	145

Już pierwszy rzut wykazuje, jak ogromne straty poniosły wszystkie stronnictwa niemieckie od r. 1873. Z liczby ogólnej 202 spadły na 145, a mianowicie stracili:

w grupie własności większej	29 mandatów
„ miejskiej wraz z izbami	
handlowemi	15 „
„ wiejskiej	13 „

Jeszcze gorzej by się sprawa przedstawiała, gdyby postracić 11 mandatów antysemitów, nieprzejednanych wrogów zjednoczonej lewicy, jakoteż 17 mandatów narodowców niemieckich także występujących z reguły przeciwko lewicy.

Sama lewica liczy obecnie tylko 107 członków, połowa tego, co było w r. 1873, a nawet dodając klub Coroniniego, to jest tylko 117 głosów w obec dawniejszych 202. Cyfry te ilustrują ten niepowstrzymany zalew sławiański i klerykałny, który z każdą kadencją wyborczą ogranicza lewicę do szczuplejszych rozmiarów.

Szczegółowy rozbiór cyfr pokazuje skąd ten zalew przychodzi.

Oto w r. 1873 centraliści posiadali prawie $\frac{3}{4}$ mandatów w kuryi własności większej i w miastach, licząc izby handlowe do miast, ale w kuryi wiejskiej posiadali tylko 41 mandatów na 129 czyli zaledwie jedną trzecią. W tej ostatniej kuryi wszystkie stronnictwa niemieckie razem posiadały w r. 1895 tylko 28 mandatów, a lewica 18!!! t. j. niespełna siódmą część.

Pierwszy wynik. Dawny centralizm zawsze przedstawiał tylko żywioł napływowy a nie rdzenie ludowy, i to z głębi ludowych płynęły te nieprzeparowane siły, których centralizm nigdy nie zdołał skruszyć, a przed którymi teraz coraz prędzej ustępuje.

Widzimy dalej, że w grupie większej własności, która w r. 1873 prawie zupełnie była niemiecka i centralistyczna z jedynym wyjątkiem Polaków liczba mandatów centralistycznych spadła z 61 na 32, że zatem arystokracja również nie była całkiem oddana na usługi centralizmu. Tymczasem w grupie miejskiej (wraz z izbami handlowemi) lewica pierwotna posiadała 100 mandatów na 139, a stronnictwa niemieckie jeszcze posiadają 85 czyli prawie dwie trzecie wszystkich mandatów, a sama lewica potraciwszy antysemitów i narodowców jeszcze posiada 67 czyli prawie połowę wszystkich mandatów.

Z tego drugi wynik. Rdzeń stronnictwa centralistycznego stanowi żywioł miejski i handlowo-przemysłowy, i to w tych kołach idea centralizmu znajdowała najsilniejsze poparcie.

Ażeby zrozumieć doniosłość tych wyników i wskazówek, które na przyszłość z nich wyciągnąć można, trzeba sięgnąć trochę głębiej w historię Austrii.

Monarchia austriacka zawsze składała się z mozaiki etnograficznej najrozmaitszych ludów spojonych mniej lub więcej jednolitą siecią pięciu hierarchii t. j.

arystokracji,
duchowieństwa,
biurokracji,
armii i
organizacji finansowo-handlowej.

Często mi na myśli, że gdyby te pięć hierarchii było kiedykolwiek razem działało w kierunku centralistycznym i germanizacyjnym, to centralizacja i germanizacja całej monarchii by się niechybnie była dokonała. Tak atoli nigdy nie było.

Co do arystokracji to był czas, kiedy (jeszcze przed zajęciem Galicji) arystokracja tak niemiecka, jak czeska, jak węgierska tworzyła ten jednolity nimbus otaczający dwór i grzejący i krzewiący się w jego blasku. Od czasów Józefińskich nastał jednak rozłam pomiędzy arystokracją urzędniczą a dworską bardziej wolnomyślną — a feudalną bardziej klerykalną i autonomiczną. W cieniu tej to ostatniej wychowała się z małych początków idea narodowości. Kierunek germanizacyjny był jednak przez długi czas wspólny obom. Polska arystokracja tworzyła wyłom w tej jednolitości, do czego niebawem przyłączyła się i węgierska, a dziś już tylko mniejszość przyznaje się do niemieckości.

Duchowieństwo z natury rzeczy nie mogło nigdy zatracić cechy narodowej i w wielu częściach Austrii języki ludowe dochowały się litylko za wpływem duchowieństwa. Józefinizm przyczynił się stanowczo do większej łączności z narodowościami. Był jednak czas, kiedy mianowicie wyższe duchowieństwo w wielkiej mierze było zgermanizowane i poddane wpływom biurokratycznym.

Biurokracja od czasów Józefińskich była najsilniejszym filarem germanizacji, chociaż tylko w mniejszej liczbie składała się z rodowitych Niemców, a w znacznej liczbie zawierała tych Wencielczków i Preclczków, których pamięć tak ostudza nasze sympatyje czeskie. Pierwszym ciosem dla biurokracji centralistycznej było wypędzenie urzędników niemieckich z Węgier w r. 1861, drugim zaprowadzenie języka polskiego w Galicji, trzecim nominacje Polaków na wysokie stanowiska urzędowe w Austrii, czwartym rozłam stanowczy pomiędzy żywiołem klerykalnym i wolnomyślnym, taksamo w biurokracji, jak

to nastąpiło w pośrodku ludności. Biurokracya zawsze zatrzyma w Austrii wielką potęgę społeczną, ponieważ system polityczny austriacki wymaga tak wielkiej czeredy urzędników. Jako podstawę działania politycznego, jako broń polityczną w kierunku centralizmu uważam potęgę biurokracyi jako złamaną, „auf dem Ausste:be-Etat“. Usunięcie się z wiekiem pewnej liczby osób i zastąpienie ich nowymi żywiołami, dopełni dzieła i biurokracya w każdym z krajów austriackich przybierze cechę kraju, w którym służy, na czem sprężystość i skuteczność administracyi dotychczas tylko zyskała. — Lewica niemiecka, która pierwotnie głównie się opierała na biurokracyi, będzie w przyszłości musiała się obejść bez tego żywiołu, przynajmniej jako stanu, co nie przeszkadza, że poważna liczba najzdolniejszych urzędników należy do tego stronnictwa.

Żywioł niemiecki i język niemiecki najusilniej i najodporniej utrzymał się w armii, ale dlatego właśnie, że tu językowi starano się odebrać znaczenie polityczne, a zachowano go z konieczności organizacyjnych i jednolitości komendy. Jest to rezultatem dawnych uprzedzeń, że tak mało Polaków poświęca się karierze wojskowej, mianowicie w służbie sztabowej i na wyższych stanowiskach. Dla narodu rycerskiego oprócz skłonności i zdolności wojskowych potrzebną i praktyką. Z pomnożeniem się liczby oficerów polskich z konieczności, ustana i te usterki, na które się obecnie niejednokrotnie skarżymy. Użycie kiedykolwiek organizacyi wojskowej, jako propagandy politycznej dla centralizacyi i germanizacyi uważam jako wykluczone.

Przystępujemy nareszcie do stanu miejskiego i organizacyi handlowo-finansowej, jako właściwej i najniezawodniejszej podstawy dawnego stronnictwa centralistycznego. Otóż i na tem polu ostatnie lata zrobiły silny wyłom w panowaniu niemieckiem. Praga, Pilzno i Lublana stracone niepowrotnie. W miastach galicyjskich, z których w r. 1873 wyszło 3 posłów żydowsko-niemieckich, z pewnością już Niemiec nigdy nie wyjdzie. Szereg innych miast, kolonij niemieckich w krajach sławiańskich, jest zagrożony. Całkiem pewne tylko te, któreż również otoczone są niemiecką ludnością miejską. Ale ciosem śmiertelnym dla centralizmu jest ruch antysemicki. Podczas kiedy mieszczaństwo niemieckie tylko istnieje w okolicach czysto niemieckich i w pojedynczych oazach pomiędzy innoplemienną ludnością, to jedynym żywiołem absolutnie uniwersalnym, rozpościerającym się wszędzie po całej monarchii, byli żydzi niemieccy. Był to najgorliwszy i najniebezpieczniejszy żywioł germanizacyjny, straszniejszy nawet od biurokracyi. Na szczęście dla narodo-

wości nie-niemieckich dawna biurokracja nie miała odwagi przyznać się do nich i zaliczyć ich do Niemców. Żydzi we wszystkich statystykach urzędowych klasyfikowani byli odrębnie. To ułatwiło na Węgrzech ich przyłączenie się do Madziarów. W r. 1873 stronnictwo centralistyczne uznało ich niemieckość, ale to już było zapóźno. Przyszedł niebawem hr. Taaffe i ruch antysemitki, i Niemcy sami wytracili mieszczaństwu niemieckiemu z rąk najniebezpieczniejszą broń centralistyczną, to jest organizacją finansową żydowską, przenikającą wszystkie pory całej monarchii. Doprowadzi to z konieczności w każdym z krajów z osobna do przyłączenia się żydów do przeważającej narodowości, a mieszczaństwo niemieckie straci cechę warstwy rozpościerającej się w całej Austrii i pozostanie tylko w dwóch odłamach lokalnych, t. j. jeden w Sudetach, a drugi w krajach alpejskich, które z natury rzeczy muszą przyjąć politykę autonomistyczną. Ruch antysemitki ubezwładnił więc ostatni czynnik, który mógł mieszczaństwu niemieckiemu nadać cechę agresywno-centralistyczną i dostarczyć powszechnej podstawy do działania politycznego i w ten sposób znakomicie się przyczynił do utrwalenia wpływu Polaków i innych stronnictw nie niemieckich.

W ten sposób prysnęły jedno po drugim wszystkie ogniwa tego łańcucha germanizacyjnego i centralistycznego, który kiedyś opasywał całą monarchię. Mieszczaństwo wolnomyślne niemieckie opuszczone przez arystokrację i biurokrację, odłączone od żydów a prześladowane przez duchowieństwo i przez antysemitów, pozbawione jest środków do prowadzenia polityki centralistycznej, zaborczej i agresywnej, bo niema z kim i niema czem ją prowadzić. Stoi o własnych siłach i to na defenzywie i po części już zmieniło, a po części w krótkości musi dalej zmienić i swoją politykę i swoje postępowanie. Dopóki było połączone z centralizmem, historia jego była od trzydziestu lat niepowstrzymanym szeregiem klęsk niepowetowanych. Pretensya niezasadniona do hegemonii narażała je na nieubłaganą i nieprzejednaną opozycję wszystkich innych stronnictw. Wyrzekłszy się raz hegemonii może się odtworzyć na nowej podstawie jako jedno z najbardziej wpływowych w szeregu stronnictw równorzędnych.

Przyczyna pierwotna, która udaremniła wszystkie dążenia do hegemonii niemieckiej, obaliła wszystkie rachuby centralizmu, jest to sama stolica monarchii: Wiedeń. Stolica miała być tem sercem regulującym obieg idei i sił w państwie jednolitem, punktem archimedesowym do wyważenia i pokonania wszystkich przeciwnych tendencji.

Temu zadaniu stolica nigdy nie sprostała, nigdy go nawet nie zrozumiała.

Gdzież była stolica od lat trzydziestu życia konstytucyjnego? Od samego początku centralizm parlamentarny miał dwa ogniska odrębne: jedno u Niemców czeskich w Sudetach, drugie o wiele bliższe autonomizmu u Niemców styryjskich w Alpach. W samym Wiedniu centralizm zawsze był żywiołem napływowym, t. j. wyznaniem biurokracyi niemiecko-czeskiej, żydów, protestantów, fabrykantów przybyłych z Rzeszy niemieckiej. Jakżeż centralizm miał pokonać wielkie kraje i królestwa historyczne, jeżeli nie zdołał na seryo zdobyć dla siebie przedmieść wiedeńskich! W chwili największego tryumfu centralizmu w roku 1873 wynurzyło się tam stronnictwo przedmiejskich demokratów! W tych samych przedmieściach podniósł głowę antysemityzm, który zadał cios w samo serce idei centralistycznej!

Jakież to paradox polityczny: stolica, która się sprzeciwiała centralizmowi, t. j. ruchowi skierowanemu na jej wyłączną korzyść.

Daremnie szukam w dziejach drugiego przykładu podobnej niedorzeczności!

Ta niedorzeczność jednak tłumaczy się działaniem tych samych głębszych sprężyn duchowych, które wogóle doprowadziły w Austrii do zwycięstwa stronnictw narodowych.

Wiedeń był siedzibą dworu, siedzibą władz administracyjnych, konglomeratem olbrzymim pałaców i budynków, ale nigdy nie był samorodnym ogniskiem duchowym lub źródłem energii i przedsiębiorczości. Oddzielony przez parę wieków kwarentanną od ruchu umysłowego w Europie. Zawsze tylko świecił pożyczanem światłem. Co tylko było najbardziej wpływowego, to zawsze było „von draussen“, od Metternicha do protestanckiego Prusaka, redagującego przez wiele lat katolicki organ „Vaterland“. Nawet do dzisiejszego dnia Niemcy alpejscy, a mianowicie Niemcy czescy stoją o całe niebo wyżej od Wiedeńczyków. Ależ biorąc wszystkich Niemców austriackich razem, wszakże można napisać doskonałą historję nowożytnej literatury niemieckiej i głównych prądów duchowych w Niemczech, nie wspominając ani jednego austriaka.

Gdyby Wiedeń był rzeczywistym ogniskiem duchowym, to prądy europejskie dostawałyby się do Austrii przerobione w alembiku wiedeńskim. W rzeczywistości prądy europejskie dostawały się nietylko do Niemców na prowincyi, ale mianowicie do innych narodowości niezależnie od Wiednia i zwykle prędzej od Wiednia. Nowe idee, ta z wszystkich najpotężniejsza broń, zazwyczaj nie była na usługi centralizmu, ale zwiększała siłę odporna narodowości.

Centralizm niemiecki, któryby był niepokonany, gdyby był uzbrojony potęgą nowych idei, pojawia się w rozwoju umysłowym Węgrów, Czechów, Polaków, jako siła represyjna jako przeszkoda.

Nie znam stolicy, któraby do tego stopnia co Wiedeń była pozbawioną uroku wyższości umysłowej i cywilizacyjnej. Nie znam też Polaka, Węgra lub Czecha, wychowanego w Wiedniu, któryby nie został tu utwierdzony w przekonaniu o wyższości swojego własnego narodu. Prusaka poważamy, ale nienawidzimy, Wiedeńczyka lubimy ale lekceważymy.

Lubimy, ale tylko dopóki pozostaje przy swoim piwie i walcach Straussowych lub Burgmusik, dopóki się nie mięsza do rzeczy nie swoich, do polityki.

Każdy ruch polityczny przybiera tu postać dla mnie dziwnie wstrętą. Miałem to uczucie pogardliwej odporności przed trzydziestu laty wobec wolaomyślności wiedeńskiej, jak je mam dzisiaj wobec antysemityzmu. Cechą wspólną obu ruchów jest pewna pospolitość, ordynarność i nieszlachetność, która oburza wszystkie moje instyktu. Zmienił się jedynie przedmiot zaczepki. Przed trzydziestu laty tym przedmiotem było duchowieństwo, dziś są żydzi.

Metoda walki, język nawet, wyrażenia są co do litery te same. Dawniej

„der Pfaff“, „Finsterling“, „Römling“, „Pfaffenknecht“,
dzis:

„der Jude“, „Ausbeuter“, „Nomade“, „Judenknecht“.

Jest to jak ruch wahadła. Z jednej ostateczności przeszło w drugą odpowiednią, ale wahadło pozostało to samo, z tego samego nieszlachetnego kruszcu.

Przed laty trzydziestu Wiedeńczyk obrażał moje poczucie nienaruszalności rzeczy świętych.

Dziś obraża moje poczucie godności ludzkiej, która mierzy każdego człowieka miarą zasługi osobistej, niezależnie od stanu, kasty lub rasy. Przesady żydowskie wydają mi się takim samym dowodem braku głębszego wychowania serca i wykształcenia umysłu jak przesady szlacheckie lub jakiegokolwiek stanowe lub kastowe.

Jeszcze jeden paradoks w rzeczywistości wiedeńskiej!

Wolnomyślność wiedeńska wychowała się w szkołach konkordatowych pod kierunkiem absolutnym duchowieństwa. Antysemityzm zaś wychował się w szkołach wolnomyślących, założonych przez liberałów!!

Jakież to objaw niemocy administracyjnej wobec prądów duchowych! Jaka to nanka dla tych, którzy chcą biurokracycznie kierować umysłami i sumieniami!

* * *

Dopiero na tem tle można zrozumieć tragiczne niemal losy centralizmu liberalnego.

Idee nowożytne zawitały do Wiednia dopiero za czasów Józefa II. Były to idee protestancko-rewolucyjne, idee Voltaire'a i Fredryka W., kosmopolityczno-materyalistyczne, importowane „von draussen“ i nie nadające się do gruntu austriackiego, barwnego różnemi narodowościami i przejętego katolicyzmem. Wiodły tu zawsze życie cieplarniane, narzucone z góry, ale nie kiełkujące w głębiach narodowych.

Kierunek ten chociaż przez wiele lat panował w administracji, nie wydał w Austrii ani jednego znakomitego pisarza. Kierunek był zapożyczony, zapożyczoną też była literatura. Do dzisiaj inwentarz umysłowy liberala austriackiego nie wiele postąpił od epoki józefińskiej. Na dnie serca pozostał Józefinizm, czyli „der aufgeklärte Absolutismus“. Umieblowanie głowy zaczerpnięte z szeregu:

Voltaire — Lessing — Heine — Börne.

Siła atrakcyjna tego kierunku na inne narodowości żadna. Wszystko martwe, jak stara elegantka wykrygowana, wypudrowana, wyróżzana z fałszywemi zębami, włosami i podrobionym biustem.

Literatury narodowe czerpały raczej z innego szeregu, t. j.

Rousseau — Herder — Fichte — Byron

kierunku tchnącego młodością i życiem, pełnego niepohamowanej siły wybuchowej i bezgranicznej i zwycięskiej ufności w przyszłość.

Józefinizm też od samego początku stał się w Austrii siłą rozkładową. On to rozbił arystokracją na dwa sprzeczne odłamy, on odstręczył duchowieństwo, on to poruszył uśpione narodowości.

Liberalizm austriacki od r. 1861 miał dwa główne kierunki: antimilitarny i antyklerykalny.

Antimilitarny, który odstręczył od nich żywość, zachowujący niemieckość uporniej od wszystkich. Antimilitarny, który w kilku chwilach ważnych wprost zagrażał istnieniu państwowemu.

Antyklerykalny, który zrazu święcił cały szereg tryumfów, a dzisiaj się rozbija o światowy prąd religijny, który potężną falą ogarnia wszystkie ludy.

Dziś, ażeby istnieć jako stronnictwo państwowe, liberalizm niemiecki musiał się wyrzec swych antypatyj militarnych, musi ukrywać swe antypatyje religijne.

Od szeregu lat szuka nowego programu, któryby mógł poruszyć masy ludowe i szuka go w idei narodowej, która w Austrii nie może przybrać innej postaci, jak tylko autonomistyczną, bo każde trącenie centralizmem zaraz wywołuje nieprzewyciężone trudności.

Oto przetwarzanie się Niemców ze stronnictwa centralistycznego na dwa autonomistyczne stronnictwa, jedno sudeckie, drugie alpejskie. Odnajdą wtenczas tę siłę ludową, która im dziś nie dopisuje. Przynajmniej uważam, że w Czechach za epoki Taaffego, właśnie od chwili kiedy stracili rządy, odporność ich wobec zalewu sławiańskiego się powiększyła i wywołała „Schulverein“ i inne formy samopomocy narodowej.

Przetwarzanie to nie jest dokonane jeszcze, ale postępuje wbrew woli stronnictwa, siłą nieprzepatą warunków historycznych, jest wytlomaczeniem zagadkowego ich postępowania, wahania i bezradności.

Np. jakaż ironia leży w sprawie cylejskiej!

Niemcy centraliści stracili przed trzydziestu laty rządy na Węgrzech i dwa miliony ludu niemieckiego tamże. Przeboleli tę stratę, zgodzili się na nowy stan rzeczy. Stracili potem rządy w Galicyi i oddali trzy czwarte miliona żydów i Niemców na polonizację. Przeboleli i to, zgodzili się na konieczność polityczną. Obecnie tracą półtoramilionową stolicę państwa i tylko bezradnie załamują ręce i apelują do wszystkich bogów, do Rządu, do papieża, do Polaków, żeby ich ratować. A z nominacyi kilku profesorów słoweńskich w małym miasteczku robią sprawę pierwszorzędnej wagi i obalają nietylko rząd, ale cały system polityczny! Ironia tem dziwniejsza, że w zasadzie już nie mają nic przeciwko szkołom słoweńskim, że w roku bieżącym dali szkołę polską w Cieszynie, uchwalili wprowadzenie języka czeskiego w szkołach średnich morawskich, tak że widzę w niedalekiej perspektywie możliwość zgodnego postępowania z Niemcami w sprawie językowej.

* * *

Teraz chwila do zrozumienia dlaczego Rada państwa jest kongresem dyplomatycznym, a nie parlamentem. Opinie jozefińskie dzienników wiedeńskich dla innych narodowości nie mają ani uroku ani powagi. Pomijane są z lekceważeniem, jeżeli nie wywołują skutku wprost przeciwnego intencji dziennika. Niema więc jednolitej opinii, na której by się parlament mógł oprzeć.

Niema tej głębszej duchowej spójni pomiędzy stronnictwami. Przyjdę do literata niemieckiego, a jest sporo ludzi znakomitych i zdolnych pomiędzy nimi. Zgadza się, dopóki mówimy o Europie, o nauce, o stosunkach ekonomicznych. Sięgam do dna serca: jozefinizm, zamiłowanie do rządów biurokratycznych i już się otwiera przepaść pomiędzy nami. To już nie sprzymierzeniec serca i ducha, ale spółnik oportunistyczny, pion na szachownicy dyplomatycznej.

Gadam z Młodoczechem, dzielę entuzjazm dla samodzielnego ruchu narodowego, podniesienia ludu. Wtem wkrada się cię panskawizm, Moskwy i już krew mi bije do głowy, wściekłość ogarnia serce i widzę tylko wroga śmiertelnego. Znowu więc przepaść duchowa i znowu pozostaje tylko pion na szachownicy.

Narodowiec niemiecki ujmuje mnie poglądami autonomistycznymi tak rzadkimi u Niemca, w tem jedno słowo Bismarck i już otwiera się przepaść pełna krzywdy i gwałtu. Nowy pion na szachownicy.

Klerykał alpejski osobiście najsympatyczniejszy, od którego nigdy cienia krzywdy nie doznaliśmy. Przychodzimy do religii, która a nas tak ściśle, tak nierozdzielnie jest złączona z idea narodową. Nie mogę poprzestać na ojczyźnie niebieskiej, ja moją widzę promienną blaskiem chwały bohaterkiej, najeżoną kopiami husarskimi i zwiastującą się szumem orlich skrzydeł. I znowu wobec bezcielesnego pojęcia katolicyzmu ponad narodowością, czuję obojętność i znowu przepaść duchowa i nowy pion na mojej szachownicy.

W parlamencie austriackim jesteśmy sami i pozostaniemy sami. Sami z naszą bohaterską przeszłością, sami z niezachwiałą wiarą w nasze przeznaczenie.

Szukamy trzech rzeczy:

a) potęgi państwowej Austrii, pod której opieką znaleźliśmy możliwość swobodnego rozwoju narodowego,

b) załatwienia pewnych spraw ogólnopństwowych, jak reformy podatkowej, procedury cywilnej i innych ustaw, które mają uchylić wadliwość tamujące wszelki prawidłowy ruch społeczny.

c) większego wyposażenia skarbu krajowego, na którym polega prawie cały ciężar pracy cywilizacyjnej, która w mierze odpowiadającej naszemu powołaniu historycznemu nigdy nie będzie dokonana jałmużnami z budżetu wiedeńskiego.

Do dopięcia tych celów szukamy sprzymierzeńców, czy na jedną etapę, czy też na kilka etap.

Uważałbym za lekkomyślność nie do darowania wykluczyć zasadniczo z szeregu tych sprzymierzeńców lewicę niemiecką.

Cóż lepszego dostaniemy na jej miejsce? Może narodowców niemieckich z Bismarkiem w sercu, lub Młodoczechów albo konserwatystów połączonych wspólną nienawiścią do Węgrów i których większość by natychmiast doprowadziła do zatargów z drugą połową monarchii i osłabiła potęgę całego mocarstwa. Każde z tych stronnictw jest dobre dopóki jest słabe, dopóki musi ukrywać aspiracje leżące na dnie serca, dopóki głosi z oportunizmu, inaczej aniżeli by to czyniło z własnej chęci i woli. Każde jest niebezpieczne w większości. Czuł to dobrze Rieger, kiedy z żalem w sercu oświadczył się za dualizmem. Była to ofiara sympatii i antypatii narodowych na ołtarzu konieczności politycznej, tak jak Cavour wyrzekł się Nicei i Piemontu, jak potężny Bismark nawet pozostawał głuchym na wszystkie „Schmerzensschreie“ Niemców nadbałtyckich, węgierskich i austriackich.

Większość sławiańska jest niemożliwą w Austrii, zagraża państwu, dopóki oficjalni kierownicy polityki sławiańskiej nie przystąpią do dyplomatycznego oświadczenia Riegera i nie pozostawią Słowian węgierskich ich własnemu losowi.

My dla żadnych mrzonek sławiańskich nie możemy dozwolić ani na chwilowe osłabienie Austrii, jakie by wynikać musiało z każdego głębszego zatargu z Węgrami.

Dlatego też nie naszą rolą jest mieszać się w wewnętrzną politykę węgierską, coby odpowiadało chęciom zagorzalców sławiańskich lub klerykalnych.

Pozostaje więc dyplomacya, dyplomacya tem potrzebniejsza, że już dzisiaj niema żadnej możliwej kombinacji dwóch stronnictw, któreby mogło mieć trwałą większość, a w przyszłych wyborach nastąpi prawdopodobnie jeszcze większe rozbicie.

Do dyplomacyi trzeba dyplomaty, ale dyplomaty z wielką ideą w sercu, a z dyplomacyą tylko w wykonaniu, „niewinnego jak gołębia, mądrego jak węża“. Czyz Austria znajdzie odpowiednich mężów stanu do przeprowadzenia takiej polityki?

W tem zapytaniu leży najbliższa przyszłość!

Stanisław Szczepanowski.



Leliwa:

Zarys stosunków polsko-rosyjskich. Przekład z rosyjskiego.

Kraków, 1895.

Niedawno spotkałem się w wagonie z dziennikarzem czeskim, jadącym z Rosji przez Podwołoczyska. Droga była nam znana, okolica jednostajna, nie przedstawiająca nic ciekawego do widzenia, zawiązaliśmy więc niebawem rozmowę, która przeszła odrazu na grunt polityczny. Powracającego z kraju niewoli i ucisku pytałem naturalnie o stosunki rosyjskie. Odpowiedzi były ogólnikowe, w tonie dla Rosji przychylnym. Zaczęliśmy wreszcie o stosunek Polaków do rządu rosyjskiego, zacząłem mówić o zakazach używania języka polskiego w Wilnie, o rusyfikacji szkół w Królestwie, słowem o tem wszystkim, co każdemu Polakowi jest dokładnie znanem. Towarzysz mój słuchał opowiadania mego z pewnem zdziwieniem i niedowierzaniem, w końcu oświadczył, że o tem wszystkim nic nie wie i wyraził powątpiewanie o prawdziwości tego, co mówiłem. Na szczęście tkwiły mi dobrze w pamięci daty owych drakońskich rozporządzeń i szczegóły, więc bez namysłu przytoczyłem jedno i drugie. Dziennikarz wyjął książeczkę i zapisywał sobie pilnie moje uwagi, co chwila przerywając je wykrzyknikami największego zdziwienia.

Wypadek ten stanął mi żywo przed oczyma w chwili, kiedy wziąłem do ręki książeczkę hrabiego Leliwy. Dzieje martyrologii naszej, zamknięte w sferze literatury polskiej są tak mało znane w Europie, że nawet najbliżsi nasi bracia nie o nich nie wiedzą. Chciałbym wierzyć, że ta niewiadomość jest przyczyna ich sympatyj rosyjskich.

Gorzej jeszcze przedstawia się rzecz gdzieindziej. Poturbowanie kilku Armeńczyków przez władze tureckie staje się powodem wymiany not dyplomatycznych, zgnębienie całego narodu, wydarcie mu mowy ojczyściej, odebranie wszelkich praw spo-

łecznych, męczeństwo unitów, profanacja świątyń pańskich, słowem najdziksze okrucieństwa, popełniane na schyłku XIX. wieku pokrywa cywilizowana Europa przezornem milczeniem. Wina w tem niewątpliwie tych stosunków fatalnych, które doprowadziły do bezwzględного ubóstwiania każdej siły brutalnej, do uznawania faktów dokonanych, chociażby one były najjaskrawszem pogwałceniem praw ludzkich i boskich, ale także nie mniej i nasza, którzy za mało troszczymy się o to, aby krzyżące o pomstę do nieba krzywdy narodu polskiego w drodze odpowiednich publikacyj, dostawały się przed forum oświeconej opinii europejskiej.

Książka hrabiego Leliwy wypełnia po części tę lukę, mówimy po części, bo jest przeznaczona głównie dla Rosyi i społeczeństwa rosyjskiego.

Na podstawie dokumentów, przytaczanych bądź w streszczeniu, bądź w wyciągach, daje nam autor bezstronny zupełnie obraz położenia Polaków pod berłem rosyjskiem.

Zaczynając od określenia „osoby polskiego pochodzenia“, przechodzi następnie do „ograniczenia praw majątkowych Polaków“, do „ograniczenia ich praw politycznych i społecznych“ podaje dalej obraz stosunków Kościoła katolickiego i ograniczenia, jakim podlegają Polacy w szkołach rosyjskich. Ostatnią część tej bardzo ciekawej publikacji stanowi: Przebieg historyczny stosunków polsko-rosyjskich i „Zakończenie“, będące rodzajem rozprawy na temat polsko-rosyjskiego porozumienia. Przesuwają się więc tu jak w kalejdoskopie wszelkie środki tego strasznego ucisku, którym carat usiłuje narodowość polską nie tylko uczynić nieszkodliwą dla siebie, ale wprost wyplenić, bo odjąć jej możność rozwoju duchowego i ekonomicznego. Wolelibyśmy może, aby te wszystkie dokumenta i listy urzędowe i nieurzędowe ogłoszone były w całości jako dodatek, stanowiłyby one bowiem dla historyka nieoceniony materiał, ale i to co jest, przyjmujemy z uznaniem i wdzięcznością, nad jednym jednak zastanowić się trzeba, a mianowicie nad tem, czy Wstęp i Zakończenie odpowiadają założeniu autora, czy konkluzye, wysnute na ostatku szczególnie, są w istocie polityczne, są takie, na jakie każdy Polak mógłby się pisać. Sądzimy, że nie.

Autor „zwraca się do właściwego społeczeństwa rosyjskiego, do przedstawicieli rosyjskiej myśli społecznej, rosyjskiej świadomości społecznej i rosyjskiego sumienia społecznego w Rosyi rdzennej“, chociaż na chwilę przedtem dowiódł, że to sumienie i ta myśl, systematycznie od lat kilkadziesiątu zatruwane przez dziennikarstwo i piśmiennictwo rosyjskie, tak

dobrze jak nie istnieje względem nas Polaków, katolików i „spiskowców“. Jest zatem sporo illuzyj w tem, jeżeli hr. L. sądzi, że spokojny ton jego pracy sprawi jakiegokolwiek na społeczeństwie rosyjskiem wrażenie. Ale przypuściwszy nawet i to, zważyć trzeba, że gnębienie Polaków i narodowości polskiej jest związane nierozdzielnie prawie z interesem materyalnym tego właśnie społeczeństwa rosyjskiego, do którego dobrej woli autor się odwołuje.

Cała zgraja czynowników rosyjskich, rekrutujących się po większej części z szumowin społeczeństwa rosyjskiego, drży na myśl zmiany tego systemu, który zapewnia jej obecnie bezkarne burmistrzowanie w prowincjach polskich i niesumienne obdzieranie Polaków. Czynownictwo to, toczące nakształt raka organizm caratu, opiera się zatem cała potęgą wielorakich wpływów swoich wszelkim usiłowaniom, dążącym do złagodzenia panującego w Polsce ucisku. Obok czynowników stoją wszyscy spekulanci, mniejsza o to, czy spekulują oni na rangi, ordery, czy też na majątek, wszyscy ci, którzy za bezwzględne stosowanie repressyjnych środków spodziewają się awansu, wyszczególnienia, lub nagrody pieniężnej, jakoteż tacy, co, postraciwszy majątki w Rosyi, jadą z próżną kieszenią do Polski, aby tam zakupywać dobra, wystawione na przymusową sprzedaż. Majątek taki, dla braku konkurencyi, kupiony za bezcen i bez pieniędzy, dostarczy spekulantowi jeszcze dość dochodów, aby mógł żyć wesoło przez lat kilka, a potem przenieść się w inne okolice w celu powtórzenia tego samego eksperymentu. Każdy rząd uczciwy, dbający o moralność społeczną, musiałby być oddawna już położyć kres temu szalbierstwu, praktykowanemu na olbrzymią skalę, ale gdy podstawą caratu jest właśnie ta najbardziej zgniła i zgaugrenowana część społeczeństwa, która się czynownictwem zowie, przeto zmiana jest prawie niepodobna. Na wytworzenie takiego ustroju składały się wieki. Tkwił on już w bizantyńskiej cywilizacji, zgnieł i zbutwiał a przejętej przed tysiącem lat przez Włodzimierza, tkwił w despotyzmie wielkich książąt i carów moskiewskich, w owem ścisłem odgraniczeniu się od zachodu i w tem zabagnieniu ducha narodowego rosyjskiego, które „diejatele“ XIX w. „samobytnictwem“ nazwali.

Nie „fatalizm dziejowy“ zatem, jak mniema hr. L., był przyczyną nieporozumienia pomiędzy Rosyanami, a Polakami, lecz różnica cywilizacji, która rozwojowi obu narodów odmienne nadając kierunki, stworzyła dwa światy, nie rozumiejące się i ciągle walczące ze sobą. Nieszczęśliwa polityka polska w XVII. i XVIII. wieku dopomogła do zwycięstwa Rosyi i to

była chwila, gdzie połączenie obu narodów pod jednym berłem raz na zawsze mogło położyć kres wiekowej waśni. Historia unii litewsko-polskiej dostarczała nawet pod tym względem wybornych wskazówek. Ale Rosya, upojona świeżem zwycięstwem, nie umiała rozwiązać tej dziejowej kwestyi. Aneksya prowincyj ruskich i gwałtowne nawracanie unitów na prawosławie wydało się dla rosyjskich mężów stanu daleko pilniejszym i ważniejszym dziełem, niż połączenie i pogodzenie się z narodem polskim. Popełniano więc błąd jeden po drugim, gwałt po gwałcie, aż nareszcie wykopano pomiędzy obu narodami przepaść trudną do zapełnienia.

Hrabia Leliwa ma na to radę. „Szukając wyjścia — pisze on — z obecnego oplakanego położenia narodu polskiego, polska myśl społeczna zatrzymuje się na jednoplemiennym narodzie rosyjskim. W zjednoczeniu państwowem z tym narodem widzą obecnie Polacy zabezpieczenie dla siebie możności utrzymania swej indywidualności narodowej, gwarancją najpewniejszą i rzeczywistą zachowania w przyszłości swego istnienia narodowo-plemiennego“.

Nie wiemy, kto hrabię Leliwę upoważnił do takiego oświadczenia, sądzymy jednak, że nie jest ono ani polityczne, ani też odpowiednie godności narodowej. Zdanie się na łaskę lub niełaskę najstraszniejszego wroga, deprecjującego od lat kilkudziesięciu wszystkie prawa narodu polskiego, może wywołać na usta Rosyanina chyba uśmiech politowania, ale nie pobudzi go do zastanawiania się nad kwestyą, podług jego zdania, dawno zatławioną. A że tak jest w istocie, o tem świadczy artykuł *Dziennika Warszawskiego*, napisany w odpowiedzi na projekt hrabię Leliwy. Buta rosyjska, nadęta powodzeniami lat ostatnich, spogląda z lekceważącą pogardą na zgnębiony naród polski, jako na bezsilnego przeciwnika. Wyciągać dłoń do tego ciemniejszy jest zarówno nieużytecznem, jak i ubliżającym. Umieliśmy dotąd mimo wszelkich przeciwności znosić godnie i mężnie cierpienia i prześladowania, a jakkolwiek straciliśmy wiele, to zachowaliśmy szacunek wszystkich ucywilizowanych narodów. Projekt hrabię Leliwy nie przyczyni się chyba do podniesienia tego uczucia. Jeżeli więc książkę jego przeczytaliśmy z wielkiem zajęciem i jeżeli uważamy ją za potrzebną i bardzo pożyteczną, to pragnęlibyśmy szczerze, aby była pozostała bez „Zakończenia“.

August Sokołowski.



Próba symbolizmu.*)

(Maurycy Maeterlinck: Intérieur.)

Z trzech dramatów, w najnowszym tomiku dzieł Maeterlincka zawartych, wybraliśmy drugi „Intérieur“ („U ogniska domowego“), by go w przekładzie jako próbę jego symbolizmu i sposobu pisania sądowi czytelnika poddać. Skłoniła nas do tego wyboru, prócz krótkości utworu, względna jego zrozumiałość i przystępność dla ogółu, nieobeznanego jeszcze z tego rodzajem poezyi. Powiedzieliśmy względna przystępność, gdyż dobrze nam jest wiadomem, iż nawet ten utwór dla nieprzygotowanego umysłu wiele trudności i nieprzebytych głębin mieści. Maeterlinck wymaga właśnie wczytania się weń i skupionego wsluchania się w tajne szepty jego poezyi. Jej piękność jest częstokroć jako piękność dawnych gobelinów lub jako piękność a czar obrazów Fernanda Khnopffa. Nieprzyzwyczajone oko przejdzie mimo niej obojętne, jako koło białych, spłowiałych barw tamtych przechodzi, nie przeczuwając żaru ukrytego pod zewnętrzną pokrywą pozornego chłodu.

Toteż jeszcze raz usilnie zwracamy uwagę czytelnika na potężne symbole, które wciąż się krzyżując i wzajem się przenikając, w dramacie tym znajdują swe wcielenie.

Pierwszy: symbol dwoistości i sprzeczności między zewnętrznym pozorem każdej rzeczy a jej treścią i istotą, tutaj szczególnie między tem, co nam się wydaje być duszą człowieka, a tem, co jest nią rzeczywiście: „On ne voit pas dans l'âme comme on voit dans cette chambre...“ „Elles parlent en souriant des fleurs qui sont tombes et pleurent dans l'obscurité...“

Drugi: symbol niepewności naszego losu, zupełnej bezbronności i bezmocy wobec potęg przyrody, nieświadomości nie tylko naszego jutra, lecz i chwili obecnej: „Ils se croient a l'abri... Ils ont fermé les portes et les fenêtres ont de barreaux de fer...“ „Ils sont si surs de leur petite vie, et ils ne se doutent pas, que tant d'autres en sa vent davantage...“

*) Patz: Maurycy Maeterlinck str. 157, Nr. 5.

Trzeci: symbol altruizmu, miłości: „Nous avons pitié d'eux, mon enfant, mais on n'a pas pitié de nous...“

A w końcu: wielki symbol życia zwycięskiego, nietrudzonego, niepowstrzymanego pochodzenia życia zimnem, obojętnym okiem na śmierć i jego ofiary patrzącego: „L'enfant ne s'est pas éveillé!... dziecicę się nie zbudziło!...“

* * *

Intérieur.

OSOBY: W ogrodzie: Starzec, Obcy, Marta i Marya wnuczki Starca, Wieśniak, Tłum. W domu (wewnątrz): Ojciec, Matka, Dwie siostry i dzieci, osoby nieme.

(Stary ogród zarosły wierzbnami. W głębi dom, którego trzy okna dolne są oświetlone. Widać przez nie dość dokładnie rodzinę przy lampie wieczornej zgromadzoną. Ojciec siedzi w kącie koło pieca. Matka, łokiec o stół oparłszy, zapatrzona przed się. Dwoje młodych dziewcząt, biało ubranych haftuje, marzy i uśmiecha się w ciszy komnaty. Z główką na prawem ramieniu matki złożoną śpi obok niej dziecicę. Skoro się które z nich poruszy, podniesie lub przejdzie, wydają się ich ruchy poważnymi, powolnymi, rzadkimi i jakoby uduchowionymi przez odległość, światło wieczorne i niepewną szyb przesłonę.

(Starzec i obcy wchodzą ostrożnie do ogrodu.)

Starzec. Otośmy w części ogrodu, z tyłu domu się rozciągającej. Nie bywają tu nigdy. Bramy są po drugiej stronie. Są zamknięte, a okiennice zapuszczone. Lecz z tej strony niema okiennic i widziałem też światło... Tak jest, siedzą przy lampie wieczornej. Szczęście, iż nas nie usłyszeli; matka lub dziewczęta wyszłyby może i cóżbyśmy natenczas poczęli?...

Obcy. Cóż teraz poczniemy?

Starzec. Chciałbym przedewszystkiem wiedzieć, czy wszyscy są w komnacie. Tak jest, widzę ojca w kącie przy kominku. Zamyślił się, ręce na kolanach złożywszy. Matka na łokciu wsparta siedzi przy stole.

Obcy. Patrzy na nas... .

Starzec. Nie; ona nie wie, na co patrzy; jej oczy są szeroko rozwarłe. Nie może nas widzieć; jesteśmy w cieniu rozłożystych dżew. Lecz nie zbliżajcie się zbyt... . Dwie siostry zmarłej są także w komnacie. Haftują cicho, a małe dziecicę zasnęło. Zegar w kącie wskazuje dziewiątą... . Nie przeczuwają niczego i nie mówią nic.

Obcy. Gdyby można ściągnąć uwagę ojca, dać mu znak jaki? Zwrócił głowę w tę stronę. Czy chcecie, bym zapukał w które z okien. Możebnie, iż jedno z nich prędzej usłyszysz, jak drudzy... .

Starzec. Nie wiem, co wybrać . . . Należy zachować wszelką ostrożność . . . Ojciec stary i słabowity . . . Matka również; a siostry zbyt młode . . . A każde z nich tak ją miłuje, jak nigdy już miłować nie będą . . . Nigdzie nie widziałem szczęśliwszego domu . . . Nie, nie, nie zbliżajcie się do okna; byłoby to gorszem, jak wszystko inne. Należy raczej oznajmić im to w jak najprostszy sposób, jakoby najzwyczajniejsze zdarzenie. Nie należy też zbytniego smutku okazywać, bo inaczej ich ból chciałby wasz ból przewyższyć i straci zupełnie miarę. Chodźmy na drugą stronę ogrodu. Zapukamy do bramy i wejźmiemy, jakoby się nic nie stało. Ja wejdcę pierwszy; nie zdziwią się, zobaczywszy mię; nieraz zachodzę do nich, by im kwiatów lub owoców przynieść i kilka godzin społem spędzić.

Obcy. Na cóż ja wam towarzyszyć mam. Idźcie sami; ja poczekam aż mię zawezwą . . . Nie widzieli mię nigdy . . . przechodzić jeno, obcy jestem . . .

Starzec. Lepiej jest nie być samym. Zła wieść, którą się społem przynosi, mniej jest nagą i mniej gnębiącą. Myślałem o tem na drodze . . . Gdybym wszedł sam, musiałbym od pierwszej chwili mówić; po kilku słowach wszystko wiedzieliby i nie miałbym nic już do powiedzenia; a lęk mię przejmuję na myśl o milczeniu, które następuje po ostatnich słowach zwiastujących nieszczęście. Wtenczas to serce się zakrwawia. Jeśli razem wejdziemy, powiem im na przykład, po długich wstępach: znaleziono ją tak . . . płynęła rzeką, a ręce miała razem złożone . . .

Obcy. Jej ręce nie były złożone; ramiona jej zwisały wzdłuż ciała.

Starzec. Widzicie oto, iż mimoli się mówi . . . i nieszczęście w szczeniach się gubi . . . podczas gdy gdybym wszedł sam, po pierwszych już słowach zjęłoby ich przerażenie i Bóg wie, co by się stało. Jeśli zaś powoli, od jednego do drugiego przechodząc, mówić będziemy, słuchać nas będą i nie znajdą możliwości przyjrzenia się oko w oko nieszczęściu. Nie przepominajmy, iż matka tam będzie i że jej życie na włosku niemal wisi . . . Dobrze jest, jeśli się pierwsza fala bólu o słowa bez znaczenia rozbija. Potrzeba mówić dokoła nieszczęśliwych, otoczyć ich. Najobojętniejsi nawet dźwigają, sami nie wiedząc o tem, część brzemienia nieszczęścia. W ten sposób rozdziela się ono cicho i nieznacznie jak powietrze i światło.

Obcy. Wasze szaty są mokre, kapie z nich po kamieniach.

Starzec. Spód mego płaszcza jedynie się zamoczył w wodzie. Ale wam zda się zimno. Aż po pierś jesteście zawalani mułem. Nie spostrzegłem tego na drodze w ciemności . . .

Obcy. Wszedłem po pas w wodę.

Starzec. Czyście już długo przed mem nadejściem ją znaleźli?

O bcy. Kilka chwil zaledwie. Szedłem ku wiosce; było już późno i w jarze ciemniało. Szedłem a oczyma wodziłem po rzece, gdyż jaśniejszą była od drogi, gdym oto, dwa kroki od pęku sitowia przedemną, coś niezwykłego zoczył. Zbliżam się i spostrzegam włosy jej, kołem jakoby ponad jej głową roztoczone i tak z prądem wirowujące . . .

(W komnacie dwoje dziewcząt głowy ku oknu zwraca.)

Starzec. Widzieliście, włosy na ramionach sióstr zadrgały dziwnie.

O bcy. Odwróciły głowy ku naszej stronie . . . Odwróciły prosto głowy. Mówiłem być może zbyt głośno. (Obie siostry wracają do dawnej postawy.) Ale teraz już się nie patrzą . . . Wszedłem w wodę aż po pas i zdołałem ją ująć za rękę i z łatwością na brzeg wyciągnąć . . . Była tak piękną, jak jej siostry.

Starzec. Była może piękniejszą . . . nie wiem czemu, całą odwagę straciłem . . .

O bcy. O jakiej mówicie odwadze? Uczyniliśmy, co jeno w ludzkiej było mocy . . . Już od godziny przeszło nie żyła . . .

Starzec. Dziś zrana żyła jeszcze . . . Spotkałem ją wychodząc z kościoła . . . Powiedziała mi, iż się w podróż wybiera; szła odwiedzić matkę mieszkającą po drugiej stronie rzeki, w której ją zaleźliście.

Mówiła, iż nie wie, kiedy ją znowu obaczę. Już się do mnie z czemś zwrócić chciała, lecz potem nagle odwagę straciła i szybko odeszła . . . Ale teraz mi to żywo w pamięci . . . I jam nic nie spostrzegł! . . . Uśmiechała się, jako się ci uśmiechają, którzy coś w sobie kryją, lub ci, którzy się obawiają, by ich nie przejrzano. Zdawała się nie mieć ni cienia nadziei . . . jej oczy były bez blasku unikały mnie zawzięcie.

O bcy. Wieśniacy mi opowiadali, iż ją aż do wieczora widzieli nad brzegiem błędzącą . . . Myśleli, że kwiaty zbiera . . . Miałaby śmierć jej . . .

Starzec. Możnaż wiedzieć? I cóż tu wiedzieć można? . . . Należała, zda się, do tych, którzy wszystko w sobie chowają, a wszakże każdy z nas więcej jak jeden w sobie nosi powód do zerwania z życiem . . . W duszę nie można tak patrzeć, jak w tę oto komnatę . . . Wszystkie one takie . . . Nie mówią kromia zwykłych rzeczy i nikt się niczego nie domyśla . . . Miesiącami się obok kogoś żyje, co już nie z tego świata i którego dusza się już zawrócić nie da; bez cienia podejrzenia rozmawia się z nim i oto patrzcie, co następuje . . . Zdają się być lalkami bez czucia, a owo tyle rzeczy duszą ich przechodzi . . . Same nie wiedzą, czem są . . . I ona żyła jak inne . . . Aż do śmierci mówiła: „panie, pani, deszcz będzie padał jeszcze dziś rano;“ albo: „idziemy śniadać, będzie nas trzynaście przy

stole;“ albotież: „te owoce są jeszcze niedojrzałe.“ — Mówią z uśmiechem o kwiatach, co zwiane padają, a łkają z cicha w ciemności... I anioł nawet nie spostrzegłby, co widzieć należy, a człowiek nie widzi, pokąd cios nie padnie... Wczoraj wieczorem siedziała tu przy lampie, jako jej siostry i nie patrzelibyśmy na nich tak, jak na nich patrzeć należy, gdyby wypadek ten nie zaszedł... Zda mi się, jakoby ich po raz pierwszy widział... Trzeba do życia codziennego coś dolożyć, by je módz zrozumieć... Owo one obok nas dzień i noc żyją, a wy ich nie poznajecie, aż w chwili, gdy na zawsze odchodzą... A jednak, jakżeż niezwycają duszyczkę ona mieć musiała... jakżeż biedną i prostą, a przebogatą razem duszyczkę mieć musiało me dziecię drogie, skoro mówiło, co mówić należało, a uczyniło, co uczynić koniecznem było!...

Obcy. W tej chwili uśmiechają się w ciszy komnaty...

Starzec. Są spokojni... Nie oczekują jej dziś z powrotem...

Obcy. Uśmiechają się nieruchomi, ale teraz ojciec palec do ust przykłada...

Starzec. Wskazuje na dziecię u matczynego łona spiące...

Obcy. Matka niema odwagi oczu podnieść z obawy, by snu tego nie spłoszyć...

Starzec. Już nie pracują... Wielka cisza ich obesła...

Obcy. Upuścili na podłogę zwój białego jedwabiu...

Starzec. Przypatrują się dziecięciu...

Obcy. Nie wiedzą, że i im się przypatrują...

Starzec. I na nas skądś patrzą...

Obcy. Podnieśli oczy...

Starzec. A przecież nic widzieć nie mogą...

Obcy. Wydają się być szczęśliwymi, a jednak, jakżeż mało wie człowiek...

Starzec. Są w mniemaniu, iż nic im nie grozi... Zawarli bramy a okna zaopatrzyli w żelazne zapory... Wzmocnili mury staroego domu, poumieszczali zawory u trzech bram dębowych... Przewidzieli wszystko, co się da przewidzieć...

Obcy. Należy wreszcie z tem skończyć i powiedzieć im... Mógłby jeszcze kto nagle i nieoględnie im to oznajmić... Wielki tłum włościan zgromadził się na łące, na której zmarła leży... Gdyby który z nich nagle do bramy zapukał...

Starzec. Marta i Marya są przy biednej zmarłej. Wieśniacy oddalili się, by z gałęzi i liści nosze sporządzić; powiedziałem też starzej, by mię co prędzej uprzedzić przybiegła, z chwilą, w której pochód rozpoczną. Czekajmy aż przybędzie; będzie mi towarzyszyła... Nie mogliśmy się im tak przypatrywać... Sądziłem, iż przyjdzie jeno zapukać do bramy, wejść spokojnie, zacząć od tego i owego

i powiedzieć im w końcu. Lecz zbyt długom już im się tak przypatrywał, przy lampie siedzącym . . .

(Marya nadchodzi.)

Marya. Idą dziadku.

Starzec. To ty? Gdzie są?

Marya. Są u stóp ostatnich pagórków.

Starzec. Idą cicho?

Marya. Powiedziałam im, by się po cichu modlili. Marta jest z nimi . . .

Starzec. Czy jest ich wiele?

Marya. Cała wieś wyruszyła. Poprzymosili światła. Kazalam je pogasić . . .

Starzec. Którędy idą?

Marya. Boczniemi ścieżkami. Zbliżają się powoli . . .

Starzec. Czasu dość . . .

Marya. Czyście im już powiedzieli dziadku?

Starzec. Widzisz przecie, żeśmy im jeszcze nic nie powiedzieli. Siedzą przy lampie . . . Patrz, patrzże, moje dziecię: zobaczysz coś z życia . . .

Marya. Ach! jak spokojnymi się wydają! . . . Zdawaćby się mogło, iż się je we śnie widzi . . .

Obcy. Uważajcie, widziałem, jak obie siostry zadrżały.

Starzec. Wstają . . .

Obcy. Zdaje się, że do okien idą . . .

(Jedna ze sióstr, o których mowa, przystępuje w tej chwili do pierwszego okna, druga do trzeciego i przykładając równocześnie ręce do szyb, patrzą długo w ciemności.)

Starzec. Nikt się już nie zbliża do okna ze środka . . .

Marya. Patrzą . . . słuchają . . .

Starzec. Starsza uśmiecha się do tego, czego nie widzi.

Obcy. A druga ma oczy pełne lęku . . .

Starzec. Babcie, owo człowiek ciemny acz już się dusza po nad nim unosi . . .

(Długie milczenie. Marya tuli się do piersi starca i obejmuje go.)

Marya. Dziadku!

Starzec. Nie płacz, me dziecię . . . i na nas kolej przyjdzie . . .

(Milczenie.)

Obcy. Patrzą długo . . .

Starzec. Setki tysięcy lat tak mogłyby patrzeć a nicby jeszcze nie obaczyły, biedne siostrzyczki . . . Noc zbyt ciemna . . . Patrzą w tę stronę, a z tamtej pogrom nadciąga . . .

Obcy. Szczęście, iż w tę stronę patrzą . . . Nie wiem, co to tam się zbliża od strony łąk.

Marya. Zdaje mi się, że to już oni . . . są tak daleko, że ich zaledwo widać . . .

Obcy. Falują wraz z ścieżkami... oto się znowu jawią na zboczu w księżycu skąpanym.

Marya. O jakże dużo ich być musi... Zbiegli się już z przedmieścia. gdy odchodziła... Robią wielkie koło...

Starzec. Nadejdą mimo to wszystko i ja już ich widzę... Przechodzą właśnie przez łąki... wydają się małymi, tak iż ledwo ich dojrzeć wśród ziała... Rzekłbyś, dzieci małe, co się bawią przy księżycu; gdyby ich nawet widziały, nicby wiedzieć nie mogły... Och! one się od nich mogą odwracać, biedaczki, wiele chcą, to tamtych nie wstrzyma, nie wstrzyma nieszczęściami, co od dwu przeszło godzin rośnie. Wzrostu tego nie powstrzymają; i ci nawet, którzy je przynoszą zastanowić go już w pochodzie jego nie mogą... I nimi ono owłada i oni posłuszni mu być muszą... ono ma swój cel i idzie swą drogą... jest nieutrudzone i jedną jeno żywi myśl... Muszą mu swe siły dać w usługi: Są smutku pełni, a jednak idą... są litości pełni, a zawrócić nie mogą...

Marya. Starsza nie uśmiecha się już dziadku...

Obcy. Odchodzą od okien.

Marya. Obejmują matkę...

Obcy. Starsza poglaskała kędziory dziecięcia, a ono się nie zbudziło...

Marya. O! patrzcie, ojciec chce, by go także uściskały.

Obcy. A teraz cisza...

Marya. Wracają do matki.

Obcy. A ojciec ściga oczyma wielkie wachadło zegaru...

Marya. Zdałoby się, że się modlą, nie wiedząc, co czynią...

Obcy. Rzekłbyś, przysłuchują się swym duszom...

(Milczenie.)

Marya. Dziadku, nie powiedzcie im tego dziś jeszcze!...

Starzec. Widzisz, że i ty odwagę tracisz... Wiedziałem dobrze, iż nie należało im się przypatrywać. Osiemdziesiąt trzy lat blisko żyję, a oto dziś raz pierwszy mną widok życia tak wstrząsnął. Nie wiem, czemu mi się wszystko, co czynią, tak niezwykle, tak poważnem wydaje... Czekają całkiem przy swej lampie zwyczajnie wypoczynku nocnego, tak jakbyśmy go my przy naszej oczekiwali byli; a jednak mnie zda się, iż z wysokości innego świata na nich patrzą, dlatego jeno, że prawdę znam małego, której oni jeszcze nie znają... Czy to to, dzieci moje? Powiedzcież mi, czemuście i wy tak błędzi? Jestże w tem może inna jeszcze rzecz jaka, której nazwać nie umiemy, a która sprawia, iż płaczem wybuchamy? Nie wiedziałem dotąd, iż są na świecie rzeczy tak smutku pełne i taką grozą a trwogą przejmujące tych, którzy na nie patrzą... I nie zająć nie mogło, czegobym się tak lękał, jak to, iż są tacy spokoju pełni... Nadto światu temu ufają... Owo siedzą tam, od wroga biednemi

temi ścianami jeno oddzieleni . . . sądzą, iż nic ich nie zaskoczy, ponieważ bramę zamknęli, a nie wiedzą, iż dla dusz nie masz ciszy i że świat u bram domu się nie kończy . . . tak pewni są swej cząsteczki życia, a nie przeczuwają nawet, że tyłu innych więcej coś wie o tem, i że tu oto, dwa kroki od ich bramy, ja, biedny starzec, w powiędłych mych rękach całą ich szczęścia odrobinę, jako ptaszę trzymam chore, dłoni otworzyć nie śmiejąc . . .

Marya. Miejcież litość dziadku . . .

Starzec. My nad nimi litość mamy, ale nad nami nie masz litości . . .

Marya. Powiedzcież im to jutro; dziadku, powiedzcie im to za dnia, przy świetle, nie będzie to tak smutnem . . .

Starzec. Masz słuszność, moje dziecię . . . Lepiejby było zaniechać tego wszystkiego po nocy. I światło jest osłodą w bólu . . . Lecz cóżby nam powiedzieli jutro? Nieszczęście zazdrosnym czyni; ci, których dotknęło, chcieliby wcześniej je znać, aniżeli inni. Nie lubią, gdy ich się w rękę nieświadomości pozostawia . . . Wyglądali byśmy, jak gdybyśmy się kradzieży na nich dopuścili . . .

Obcy. Przytem, niema już czasu, slysze już głuche szmery modłów . . .

Marya. Są tu . . . przechodzą poza płotami . . .

(Wchodzi Marta.)

Marta. Otom jest. Odprowadziłam ich aż dotąd. Kazałam im czekać na drodze. (Słychać krzyki dzieci.) Och! Dzieci jeszcze krzyczą . . . Zabroniłam im iść z nami . . . Ale napierały się koniecznie widzieć także . . . a matki nie słuchały . . . Pójdę powiedzieć im . . . Nie; są już cicho. Czy już wszystko gotowe? — Przynoszę małą obrączkę, znalezionej przy niej . . . Mam też nieco owoców dla dziecka . . . Nazbierałam stokrótek . . . smutno, nie było innych kwiatów . . . Cóż tu robicie? Czemu przy nich nie jesteście? . . . (Patrzy przez okno.) Nie płaczą? . . . oni . . . toście im nie powiedzieli? . . .

Starzec. Marto, Marto, zbyt wiele życia ma twa dusza, nie jesteś w stanie zrozumieć . . .

Marta. Ach! czemużbym zrozumieć nie miała? . . . (po chwil milczenia z odcieniem wyrzutu, bardzo silnym) Tedyście nie mogli tego uczynić, dziadku . . .

Starzec. Marto, ty nie wiesz . . .

Marta. Tedy ja im powiem . . .

Starzec. Zostań tu, pójdź dziecię i przypatrz im się przez chwilę.

Marta. Och! jacy oni nieszczęśliwi! . . . Nie mogą dłużej tak pozostać . . .

Starzec. Dlaczego?

Marta. Nie wiem . . . lecz wiem, że to niemożliwe! . . .

Starzec. Chodź tutaj, moje dziecię . . .

Marta. (Odwracając się) Gdzie jesteście dziadku? Jam tak nie-szczęśliwa, że was nie widzę . . . ja sama już nie wiem, co począć . . .

Starzec. Nie przypatruj się im już; aż pokąd nie będą wszystkiego wiedzieli . . .

Marta. Pójdę z wami . . .

Starzec. Nie, Marto, zostań tu . . . usiądź sobie przy twój siostrze na tej starej ławie kamiennej pod ścianą i nie patrz się tam . . . Tyś za młoda, nie umiałabyś zapomnieć . . . nie wiesz, co to jest twarz w chwili, gdy śmierć przed jej oczyma przeciąga. Usłyszysz może krzyki . . . Nie odwracaj się . . . Może żadnych krzyków nie będzie . . . Tembardziej się nie oglądaj, gdybyś nie nie słyszała . . . Pochođu złej wieści przewidzieć nie można . . . Ciche łkanie z głębi piersi dobyte raz i drugi raz, oto wszystko zwykle . . . Ja sam nie wiem co pocznę, gdy je usłyszę. To nie z tego już życia . . . uściskaj mnie dziecię moje, zanim pójdę . . .

(Szmer głuchy modłów zbliża się stopniowo. Część tłumu wtargnęła do ogrodu. Słychać ciche kroki biegnących i stłumione głosy.)

Obcy. (Do tłumu.) Zostańcie tu . . . nie zbliżajcie się do okien . . . Gdzie ona? . . .

Wieśniak. Kto gdzie?

Obcy. Oni . . . ci, ci ją niosą? . . .

Wieśniak. Nadchodzą aleją, co do bramy prowadzi.

(Starzec oddala się. Marta i Marya usiadły na ławie odwrócone od okien. Głuchy pogwar wśród tłumu.)

Obcy. Ps . . . t! . . . nie gadajcie!

(Większa ze siostr wstaje i idzie zamknąć zasuwę drzwi.)

Marta. Czy otwiera?

Obcy. Nie, zamyka . . .

(Milczenie.)

Marta. Czy dziadek nie wszedł?

Obcy. Nie . . . ona wraca i siada przy matce . . . inni się nie ruszają, a dziecię spi ciągle . . .

(Milczenie.)

Marta. Siostrzyczko moja biedna, podaj mi twe ręce . . .

Maryja. Marto! . . .

(Obejmują się i całują.)

Obcy. Musiał teraz zapukać . . . Podnieśli głowy równo-cześnie . . . patrzą na siebie . . .

Marta. Och! Och! Siostrzyczko moja biedna . . . i ja będę musiała krzyczeć . . . (Tłumi swe łkanie na ramieniu siostry.)

Obcy. Musiał jeszcze raz zapukać . . . Ojciec patrzy na zegar. Wstaje.

Marta. Siostrzo, siostrzo, muszę wejść tam także . . . Nie mogą tak sami pozostać . . .

Marya. Marto! Marto! . . . (Zatrzymuje ją.)

Obcy. Ojciec jest u drzwi . . . odsuwa zawory . . . Otwiera spokojnie . . .

Marta. Och! Czy nie widać . . .

Obcy. Czego?

Marta. Tych, co ją przynieśli . . .

Obcy. Odchylił zaledwo nieco drzwi . . . Widzę tylko kawałek murawy i wodotrysk . . . Nie puszcza drzwi z rąk . . . cofa się. — Wygląda, jakoby mówił: „Ach, to wy! . . .“ Wzrusza ramionami . . . Zamyka drzwi starannie. Wasz dziadek wszedł do pokoju . . .

(Tłum zbliżył się do okien. Marta i Marya podnoszą się najprzód na wpół, następnie zbliżają się również oplótszy się serdecznem objęciem. Widac starca wchodzącego do komnaty. Obie siostry zmarłej podnoszą się; matka wstaje również, złożywszy wprzód starannie dziecię w krzesle poręczowem, w którym siedziała; tak, że z zewnątrz widzieć można dziecię spiące z główką pochyloną nieco, na środku pokoju. Matka idzie na spotkanie starca i wyciąga ku niemu rękę, lecz cofa ją, zanim ten czas miał ją ująć. Jedna z dziewcząt chce gościowi zdjąć płaszcz, druga podsuwa mu fotel. Lecz starzec czyni ruch odmowny. Ojciec uśmiecha się z wyrazem zdumienia na twarzy. Starzec spogląda z ukosa ku oknom.)

Obcy. Nie ma odwagi powiedzieć im . . . Patrzył na nas . . .

(Gwar wśród tłumu.)

Obcy. Ps . . . t! . . .

Starzec, zobaczywszy twarze u okien, odwrócił oczy nagle. Gdy mu jedna z dziewcząt ciągle jeszcze fotel podsuwa, usiada wkońcu i pociąga prawą (ręką kilkakrotnie po czole.)

Obcy. Usiadł . . .

(Inne osoby w komnacie siadają również, a ojciec mówi żywo. W końcu starzec otwiera usta a na dźwięk jego głosu zdają się wszyscy być poruszeni. Ale ojciec mu przerywa. Starzec potem znowu poczyna mówić, a w miarę tego inni nieruchomieją. Nagle matka zadrżała i zrywa się.)

Marta. Och! matka zaczyna się domyślać! . . .

(Odwraca się i kryje twarz w dłoniach. Ponowny gwar w tłumie. Tłum poczyna się śśnąć i przeć. Dzieci krzyczą, by je podnieść, chcąc także widzieć. Większa część matek słuca ich.)

Obcy. P . . . st! . . . Jeszcze nie powiedział . . .

(Widać, jak matka pełna trwogi starca zapytuje. Ten wypowiada jeszcze słów kilka; następnie nagle wszyscy inni również się zrywają i zdają się go zasypywać pytaniami. Wtenczas on głową czyni znak potakiwania.)

Obcy. Powiedział im nagle! . . .

Głos wśród tłumu. Powiedział! Powiedział! . . .

Obcy. Nie słyhać nic . . .

(Starzec wstaje również i nie odwracając się wskazuje palcem na drzwi poza sobą. Matka, ojciec i obie siostry rzucają się ku tym drzwiom, tak, że ojciec nie może ich natychmiast otworzyć. Starzec usiłuje zatrzymać matkę.)

Głos wśród tłumu. Wychodzą! Wychodzą! . . .

(Tłum tłoczy się w ogrodzie. Wszyscy rzucają się ku przeciwnej stronie ogrodu i znikają; z wyjątkiem obcego, który przy oknach pozostaje. W sali drzwi otwierają się na oścież, wszyscy wychodzą równocześnie. Widać niebo gwieździste, trawnik, wodotrysk w miesięcznej poświacie, podczas gdy na środku opuszczonej sali dziecię dalej spokojnie spi w krześle poręczowem. — Milczenie.)

Obcy. Dziecię się nie zbudziło! . . .

(Wychodzi również).

Zygmunt Bytkowski.

